

BLIZZARD ENTERTAINMENT

Middlewick

Autor:

Eric Sabol

I

Żołnierz podniósł pochodnię i pochylił się, aż zatrzeszczało skórzane ubranie. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Światło pochodni sprawiło, że cienie w zaroślach zatańczyły, wijąc się i zmieniając kształty, niczym mroczne macki uciekające przed światłem gwiazd. Wiatr — ostry i niezwykle mroźny jak na wczesną jesień — targał koronami drzew. Siedem ciał na stryczkach kołysało się rytmicznie.

Zbrojny zatrzymał się przy zakrwawionych stopach starca zwisającego ciężko z niskiego dębu. Blask pochodni rozmywał sylwetkę wisielca i podkreślał jej szkieletową kruchość. Spod rozdartych szat widać było plamy wątrobowe, otwarte ropienie i poskręcane żyły, a także coś dziwnego, co odsłaniały strzępy materiału łopoczące nad zapadniętą klatką piersiową truchła. Żołnierz wyciągnął szyję. Ostrożnie podniósł urękawiczoną dłoń, chwycił tkaninę dwoma palcami i lekko pociągnął. Przekrzywiwszy głowę, zbliżył pochodnię do wisielca. Czerwone szramy, znaczące skórę na piersi starca, tworzyły skomplikowane wzory i ciągnęły się od mostka ku brzuchowi i...

— Harringer — rozległo się warknięcie zza linii drzew. — Przestań rozbierać zwłoki.

Żołnierz odwrócił się z uniesioną pochodnią, rozświetlając spowitą mrokiem ścieżkę między drzewami. Przybysz wyszczerzył zęby, trzymając się pod boki, czarna zbroja niemal idealnie ukrywała go na tle ciemnych zarośli. Na pierwszy rzut oka widać było tylko uśmiech — dwa rzędy idealnie białych zębów — dopiero gdy się przypatrzeć, dawało się wychwycić w mroku ludzką sylwetkę. Mężczyzna miał pomarszczoną twarz skrytą częściowo pod gęstą szczeciną. Stał przy młodym żołnierzu.

Harringer odwrócił się z powrotem do trupa na stryczku.

— Stretvanger postradał zmysły — stwierdził, po czym ponownie się nachylił, aby zbadać zadrapania na torsie starca. — Czy widziałeś, co zrobił temu nieszczęśnikowi?

Mężczyzna w ciemnej zbroi pokręcił głową.

— Nie widziałem. I ty też nie powinienes. Ręce z dala, zapomniateś? Nie wolno nam ich dotykać.

— Jak myślisz, dlaczego?

— Nie moja rzecz. — Zagryzł dolną wargę, przyglądając się z namysłem zwłokom starca. — Stretvanger chce, by się wykrwawili. Nie wolno nam ich dotykać, dopóki wielka szycha nie wyda rozkazu, rozumiesz?

Harringer przytaknął w roztargnieniu, obrzuciwszy spojrzeniem wilgotne, mlecze zwłoki.

— Wyrzył symbole na piersi i brzuchu nieszczęśnika. — Przełożył pochodnię do drugiej ręki i kontynuował swoje badanie.

— Upuszcza im krwi, co do kropli. Stretvanger jest nieugięty. Chce ich wysuszyć na wiór.

— To dziwne, nie uważasz? Wycinać wzory?

Przybysz wzruszył ramionami.

— Nie dziwniejsze od wtargnięcia do Middlewick i rozkazu egzekucji czterech rolników, dwóch barmanek i jednej położnej bez żadnego wyraźnego powodu.

Harringer podążył wzrokiem za nacięciami na brzuchu truposza i zaczął szarpać go za pas.

— Ten nie był rolnikiem. Był ogrodnikiem, jak sędzę. — Jedną ręką odwiązał sznurowany pas, opuścił poszarpane spodnie i prześledził szramy biegnące po wychudzonych udach. Stryczek i gałąź zatrzeszczały.

— Na wszystkie świętości, Harringer, w Southfield jest burdel. Dokończ patrol, to załatwię ci pełny serwis, ale jeśli masz jeszcze resztki przyzwoitości, to załóż na powrót spodnie temu biednemu rolnikowi.

— Ogrodnikowi — poprawił Harringer, podnosząc złachmanione portki i zawiązując wisielcowi pas. — Myślisz, że Stretvanger pociął też inne ciała?

Pytany charknął i splunął w drzewa.

— Nie wiem. Ten człowiek jest pełen tajemnic. Minęły cztery dni, zabiliśmy siedmiu ludzi, a on nie wydukał ani słowa wyjaśnienia.

Harringer zamyślił się i zmarszczył brwi. Nagle odwrócił się i ruszył w głąb gaju.

— Harrin... — Mężczyzna w ciemnej zbroi pokręcił głową i westchnął, a następnie pobiegł za żołnierzem między drzewa. — Niech cię, Harringer, ręce z dala, pamiętasz?

Kiedy ich kroki się oddaliły, a światło pochodni Harringera już tylko migotało niewyraźnie wśród zarośli, z mroku wyszła dwójka dzieci. Dalia i Istanten czekali na ścieżce, nasłuchując cichnących głosów żołnierzy. Następnie Dalia z zatkniętymi za pas nożycami podbiegła do kościstych zwłok wiszących na dębie.

— Stój na czatach — rozkazała Istantenowi. — Ja go ściagnę.

Chłopiec przyłożył dwa palce do krtani i zakrakał na znak, że rozumie. Dalia chwyciła nożyce w zęby. Dala nura pod zwłoki i podeszła do pnia, szukając oparcia na ręce. Istanten zerkał to na oddalający się płomień pochodni Harringera, to na Dalię zwinnie wspinającą się na dąb. Dziewczynka przecisnęła się między gałęziami i chwiejnie ruszyła po konarze do sznura, na którym powieszono starca.

W oddali z drugiego końca ścieżki dobiegło echo ochrypłego rechotu żołnierza.

Obejmując jedną ręką gałąź, Dalia wyjęła nożyce z ust i sięgnęła do liny. Zaczęła ciąć cierpliwie, otwierając i zamykając ostrza. Lina kołysała się, a gałąź trzeszczała pod ciężarem dziewczyny. Pierwsze włókna sznura zaczęły się strzępić i pękać. Dalia skupiła się, jej ruchy stały się szybsze, gdy lina zaczęła ustępować.

Istanten przyłożył dwa palce do krtani i wydał niski pomruk. Dalia zamarła. Chłopak zagulgotał spięty, opuścił ścieżkę i dał nura w mrok. Dziewczyna usłyszała głos Harringera, był coraz bliżej.

— Istantenie! — szepnęła, trzymając się mocno gałęzi. Ukryty w ciemności chłopiec nie odpowiedział. Burknęła, zazgrzytała zębami i cięła dalej. Kątem oka dostrzegła światło pochodni migoczące między konarami. Poczęła ciąć zacieklej, mięśnie ręki jej zapłonęły, oddech uwiązał w gardle. Sznur rwał się pod ostrzami, coraz słabiej trzymał zwłoki. Dalia słyszała już kroki żołnierza — liście i kamyki chrzęszczące pod jego stopami, cichy brzęk jego klamer. Walczyła gniewnie ze sznurem, tnąc włókno za włóknem zimną stalą nożyc. W ciemności zabrzmiał głos Harringera.

— Ty tam! — Zbrojny machnął pochodnią.

Dalia ostrożnie odwróciła głowę. Mrużąc oczy, popatrzyła na żołnierza w blasku ognia. Serce biło jej mocno w piersi. Już miała odpowiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie słowa, więc tylko w ciszy zamarła na gałęzi. Harringer przysunął się bliżej. Dalia przełknęła nerwowo i wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

Drzewa po tej stronie ścieżki rosły zbyt gęsto. Jeśli jednak zeskoczy z gałęzi i nie połamie sobie nóg, pogna przez zarośla i razem z Instantenem znikną, zanim żołnierz zdąży ruszyć w pogoń. Ale jeśli lądowanie się nie uda, a Dalia straci równowagę lub skręci kostkę...

Rozważyła, co może zrobić. Tymczasem Harringer podszedł jeszcze bliżej. Dalia jedną ręką ujęła mocniej nożyce, a drugą kurczowo zacisnęła na konarze. Napięła się i przygotowała do skoku, ale Harringer wcale się nie zatrzymał. Gdy ją mijał, Dalia poczuła ciepło jego pochodni. W blasku ognia dostrzegła niskiego mężczyznę jakieś trzydzieści metrów dalej. Stał na ścieżce.

— Sir! — krzyknął Harringer. — Nie powinien pan tutaj przebywać.

Drobny człowieczek nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową i bezwiednie złożył dłonie przed sobą. Wpatrywał się w młodą kobietę wiszącą na stryczku. Harringer powtórzył, przyspieszając nieznacznie kroku. Mężczyzna wskazał na ciało i uśmiechnął się smutno.

— Moja żona — stwierdził.

Harringer podszedł czujnie i poklepał mężczyznę po ramieniu. A potem wyprowadził intruza z gaju w ciemność.

Dalia odetchnęła drżąc. Rozwarła nieco palce zaciśnięte jak kleszcze na gałęzi. Wiatr rozwiewał dziewczynie włosy i targał ubraniem, wisielec się kołysał, a lina trzeszczała. Z ciemności wychynął Istanten, pomachał Dalii i wskazał na zwłoki.

— Co jest? — wyszeptała.

Włókna zakręciły się, lina zajęczała i trzasnęła po raz ostatni. Ciało gruchnęło na ziemię. Gałąź zatrzęsała się wściekle, Dalia spadła na trupa. Istanten pomógł jej wstać. Odczekał, aż złapała oddech, a potem chwycił ciało pod pachy i zaciągnął w zarośla.

Dalia zatknęła nożyce za pas, otrzepała się z brudu i chwyciła starca za nogi.

— Uważaj na głowę — rzuciła.

Dzieci zaniósły ciało między drzewa, po czym ruszyły ze swoim ciężarem w kierunku Middlewick. Żadne z nich nie wydało dźwięku, gdy wlekły zwłoki przez

pola i szemrzącą rzekę, a kraczące wrony były ich jedynymi towarzyszami w środku nocy.

II

Dalia zdjęła łańchmany z wychudzonego ciała dziadka. Oderwała skrawek jego koszuli, namoczyła i delikatnie zmyła brud z piersi i twarzy staruszka. Oczyszczyła krawędzie długich szram — groteskowej serii symboli wyciętych okrutnie na jego skórze — a następnie zaciągnęła zwłoki do sypialni od frontu. Pierwsze promienie słońca zabarwiły poranne niebo, gdy ułożyła zmarłego na łóżku i przykryła kołdrą aż po jego szczeciniasty podbródek. Złożyła szybki pocałunek na czole dziadka, po czym powlokła się do szopy za chatką.

Tam zamieniła nożyce na łopatę i wyruszyła do lasów za miastem — skupiska drzew naprzeciw gaju. Gdy w półmroku szła przez pola, z umysłem otępiałym od wyprawy z zeszłej nocy, przyjrzała się dokładniej szpadlowi. Staruszek miał tę łopatę od dziesięcioleci, ale służyła bardziej za ozdobę niż narzędzie — przez stylisko z ciemnego drewna biegły wymyślne hieroglify, które kończyły się u podstawy kościanego uchwyty. Sam uchwyt był wąski i ostro zakończony, misternie zdobiony motywem kwiatów i winorośli.

Narzędzie robiło wrażenie i przez dwanaście lat swojego życia Dalia nie widziała, żeby dziadek z niego korzystał.

Gdy słońce akurat przebijało się zza gór, znalazła polanę. Dwukrotnie zrobiła pomiary — sześć stóp długości, cztery szerokości — po czym wbiła szpadel i wydobyła pierwszą grudę ziemi. I tak minął jej poranek — na kopaniu lub wrywaniu korzeni, żeby pogłębić grób dla swojego dziadka.

W południe zrobiła sobie przerwę na odpoczynek i wygrzebała się z dziury. Kosmyki włosów przykleiły się jej do spoconego czoła, a twarz i ubranie umorusane były zaschniętą ziemią. Minęło kilka minut. Dalia rozkoszowała się chłodną, leśną

bryzą, odzyskując energię i medytując przy akompaniamencie ptasiego śpiewu. Było to krótkotrwałe uczucie.

Usłyszała tupot pospiesznych kroków i trzaskanie ściółki leśnej. Ścisnęło ją w brzuchu. Zerwała się na równe nogi, podniosła szpadel, by się bronić. Zmrużyła oczy, próbując znaleźć źródło dźwięku, ale wśród wijących się cieni i światła przebijającego się przez rozkołysane gałęzie niewiele zdołała zobaczyć.

Z zarośli wypadł Istanten. Dalia wzdrygnęła się i zachwiała. Ledwie odzyskała równowagę tuż nad krawędzią dołu.

Chłopiec przykucnął, aby złapać oddech, pierś mu falowała, gdy łapczywie wciągał powietrze i dyszał gardłowo.

Dalia wbiła szpadel. Położyła chłopcu dłoń na ramieniu.

— O co chodzi?

Popatrzył na nią, po czym wskazał na zachód, w kierunku miasta. Dwa palce drugiej ręki przyłożył do krtani i wydał niski pomruk.

Dziewczynka uklękła przed nim, popatrzyła w oczy ukryte za grzywą spoconych włosów.

— Znaleźli dziadka?

Chłopak nie odpowiedział. Dyszał tylko i sapał, drżącym palcem nadal wskazując ku Middlewick.

Dalia zerwała się i skoczyła w zarośla. Gałęzie i pnącza czepiały się jej włosów i ubrania. Potykała się o kamienie i korzenie, ale zachowała równowagę, pędząc ku osadzie. Nie zważała na zmęczenie ani na ogień w płucach, gnała jakby ją ścigały demony z piekła rodem. Przeskakiwała nad płotami i przecięła pola pozostawiając za sobą ślady rozrzuconej ziemi. Z nisko opuszczoną głową i walącym sercem mijała

ulice, unikając ludzi, wozów i bestii jucznych. Wreszcie skręciła za róg do chatki swojego dziadka.

Droga była pusta. Chatka stała samotnie i cicho na końcu ulicy. Dalia poczuła ulgę, która spłynęła po niej niczym deszcz. Pod dziewczynką ugięły się nogi, upadła na bruk. Ciężką dysząc z wyczerpania, przycupnęła z potarganymi włosami i załzawionymi oczami, rozkoszowała się widokiem domu i cudowną chwilą wytchnienia.

Nagle na drogę padł cień. Dalia pomyślała, że to słońce skryło się za chmurami, tak był wielki. Odwróciła się. Znowu ścisnęło ją w brzuchu.

Stał nad nią człowiek jak dąb. Dziewczynka rozpoznała go od razu — Stretvanger. Ciemny kaptur skrywał mu twarz, widać było tylko mocno zarysowany podbródek. Bogate, luźne szaty, spięte ciasno szerokim pasem z gładkiej skóry, podkreślały ogrom sylwetki mężczyzny. Dalia pomyślała, że ten pas po rozwinięciu pewnie sięgnąłby jej dużo ponad głowę. Za wielkim biskupem stało w półkolu kilku żołnierzy, wśród nich Harringer i jego odziany w czarną zbroję kompan.

Gdy Stretvanger wyciągnął rękę, stawy mu zatrzeszczały. Ujął Dalię za ramię i bez wysiłku postawił na nogi.

— Dziewczyńko — w jego głosie czaiło się ponure zniecierpliwienie. — Czy dziadek jest w domu?

Dalia odgarnęła kosmyk włosów z oczu. Pałące spojrzenie Stretvangera zachwiało jej pewnością siebie, zdołała jedynie pokręcić głową. Kiedy to słabe zaprzeczenie nie złagodziło jego spojrzenia, wskazała drżącym palcem na zachód.

— Jest w gaju — pisnęła. — Tam, gdzieście go zostawili.

— Mądra odpowiedź, moje dziecko, ale zła. Twój dziadek zgubił się zeszłej nocy. — Biskup zerknął na chatkę. — Ale śmierć jest okrutnie nieubłagana. Podejrzewam, że daleko nie zaszedł.

Dwoma palcami złapał Dalię za ubrudzony rękaw i przyjrzał się smugom ziemi na jej tunice i spodniach. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Widziałaś go?

— Nie, myślę...

Stretvanger wskazał na chatkę.

— Zatem nie masz nic przeciwko, żebyśmy się rozejrzeli?

Dalia ostrożnie wyszła z cienia wielkiego biskupa i cofnęła się w stronę domu.

— Mam.

— Co za nieuprzejmość! — Drwiący, lepki rechot zadudnił spod kaptura. Stretvanger odwrócił się i burknął rozkaz grupie żołnierzy czekających w szyku za nim. Rozłączyli się i ruszyli do chatki. Biskup minął nonszalancko dziewczynkę stojącą mu na drodze.

Przerażoną Dalię zalała fala gniewu.

— Tak... tak nie można! To, co robicie ludziom, co robicie nam, to nie jest w porządku!

Stretvanger zatrzymał się. Spojrzał na dziewczynkę przez ramię.

— Owieczki nie muszą znać motywów pasterza. Śpij spokojnie. Oczyszczymy ten kraj.

Fala gniewu w jej sercu przelała się i napełniła słowa dziewczynki gorzkim żalem.

— Mylisz się.

Olbrzym wzruszył ramionami.

— Miejsce dzieci nie jest w polityce — mruknął i dał sygnał żołnierzom. Powietrze zawibrowało od brzęku stali, żołnierze stłoczyli się przy chatce, podnieśli miecze i napięli się, gdy jeden wykopał drzwi frontowe z zawiasów.

— Przeszukać szafy. Przetrzęsnać strych. Sprawdzić wychodek. Ciało jest *tutaj* i chcę je mieć z powrotem.

Oddział wbiegł do chaty.

— Krew! — krzyknął biskup za nimi. — Niecnota dalej krwawi. Szukajcie ciemnej, nieświeżej krwi.

Z ulicy Dalia słyszała brzęk pękających naczyń i łamanego drewna. Stretvanger z założonymi rękami kołysał się na trawie. Patrzył, jak jego ludzie przeczesują chatkę. Za jego plecami wschodziło słońce.

Po czole Dalii spływały krople potu. Otepiała z furii, nawet nie mrugnęła. Od soli oczy dziewczynki szczypały i zachodziły mgłą, ale nie spuszczała wzroku ze zwalistego mężczyzny, nadzorującego niszczenie domu jej dziadka. Jej domu. Słuchała, jak zbrojni plądrują miejsce pełne wspomnień, zacisze Dalii — jedyne, które mogła nazywać domem. I drżała z wściekłości.

Wyważyła ostry kawałek spękanej kostki brukowej z drogi. Zacisnęła zęby i zmrużyła oczy — gdyby tylko trafiła kilka centymetrów pod tym szerokim pasem — w podstawę kręgosłupa... Zbliżyła się szybko, jej buty zastukały o bruk, ale Stretvanger nie odwrócił się na odgłos kroków. Kiedy znalazła się na wyciągnięcie ręki, podniosła kamień, zacisnęła chwyt i już miała zadać cios...

Ale zanim uderzyła, w progu stanął Harringer. Miecz miał schowany w pochwie, a palce poznaczone siatką nacięć i drzazg.

— Znaleźliśmy krew w łóżku starca — powiedział.

Biskup rozchylił lekko usta.

— Krew? — Słowo rozbrzmiało spod kaptura jak werbel. — Tak?

Harringer nie wymienił spojrzeń ze Stretvangerem, zamiast tego patrzył w ziemię pod nogami olbrzyma.

— Ale nie ma ciała. Szukaliśmy wszędzie.

Dalia zmarszczyła brwi. Upuściła kamień i cofnęła się cicho. Stretvanger milczał, a potem odwrócił na pięcie i spojrzał na dziewczynkę. Wbijał w nią beznamiętne, lodowate spojrzenie przez kilka pełnych napięcia sekund, potem przełknął i skinął lekko głową.

— Dobrze — wymamrotał i ruszył pospiesznie do miasta. Dalia musiała uskoczyć mu z drogi.

III

Ostatni z żołnierzy w końcu wyszli, zostawiając Dalię samą pośród chaosu rozrzuconych ubrań i wywróconych szuflad u stóp pustego łóżka jej dziadka. Owinęła się brudną od ziemi kołdrą jak kokonem. Płakała w kuckach obejmując kolana i przyglądała się zniszczeniom przez łyzy. Siedziała tak skulona kilka minut, rozglądając się tylko w poszukiwaniu śladów po ciele chuderlawego staruszka. Wgniecenie tam, gdzie leżał, nadal było widoczne w pościeli, podobnie zaschnięta krew i brud, ale zwłoki zniknęły jak kamfora.

W oddali zamiauczał kot.

Dalia otarła łyzy brudnym rękawem, po czym chwiejnie wstała. Powłócząc nogami w bałaganie, podeszła do okna i odsunęła zasłony. Ciepłe promienie słońca rozświetliły drobinki kurzu wirujące w sypialni. Dziewczynka tępo podreptała do kufra z wiśniowego drewna i zaczęła układać przetrząśnięte ubrania. Pracowała spokojnie, myśli w jej głowie ucichły w martwym zastoju. Zebrała rzeczy dziadka — stare notatki, kilka zmatowiałych pierścieni, których wcześniej nie widziała — i ułożyła je równo w skrzyniach stojących przy ścianach.

W przeciwnym rogu pokoju, pod parą zmiętych spodni, Dalia znalazła stary dziennik dziadka. Okładka, ciemna, szorstka i pomarszczona ze starości, trzymała się tylko na kilku słabych nitkach; strony zwisały z grzbietu niczym kruche, pożółkłe jęczory. Dalia po raz pierwszy ujrzała gryzmoły pod mocno porysowaną obwolutą. Litera wyglądały znajomo, przypominały nacięcia na ciele starca, ale język był nieznan — losowe słowa i symbole niechlujnie spisane na każdej stronie wraz z marginesami. Wypełniały większość dziennika. Z tyłu Dalia znalazła kilka szkiców, nagryzmołone kwiaty lub proste krajobrazy, ale nic, co by od razu rozpoznała.

Zabłąkany kot znów zamiauczał, gdzieś zza drzwi. Do uszu Dalii dobiegło nerwowe, stłumione drapanie. Położyła książkę na podłodze obok skrzyń i ostrożnie wyszła na korytarz.

— Kto tam? — zawołała.

Przez chwilę w chatce panowała cisza. Potem znowu rozległo się wściekłe miauczenie, gdzieś z kuchni na końcu korytarza. Niepewnie ruszyła w kierunku źródła dźwięku, stawiając jeden ostrożny krok za drugim, aż wyszła za róg na zimną, kamienną posadzkę pustej kuchni. Podłogę zaśmiecały nierówne kawałki potłuczonych, zdobionych talerzy, stół jadalny został wywrócony i zepchnięty pod przeciwległą ścianę. Nieustępliwe drapania było tutaj głośniejsze. Głębsze. Ludzkie.

Dalia westchnęła i podbiegła do ciemnej spizarni. Odtoczyła przewrócone beczki z ryżem i ziemniakami, złapała za krawędź podłogi i podniosła kwadratowa klapę. W dziurze pod spizarnią siedział Istanten; chłopiec był przygnieciony ciałem dziadka. Wytrzeszczył na Dalię wilgotne oczy. Dziewczynka wyszczerzyła zęby.

— Utknąłeś? — rzuciła, a Istanten tylko parsknął i wyciągnął rękę.

Dalia złapała go za nadgarstek. Wspólnymi siłami udało im się wywlec chłopca z pod ciała. Uwolniwszy się, otarł rękawem resztki łez z policzków. Dalia z nad otworu przyjrzała się zmiętemu ciału swojego dziadka.

— Czy... czy nic mu nie jest? — zapytała. Chłopak wzruszywszy ramionami, odgarnął włosy z twarzy. Dziadek leżał w nienaturalnej pozie, z wykrzywioną szyją i wykręconymi rękami w ciasnym dole. — Nie chcę go tak zostawiać, ale myślę, że tutaj będzie najbezpieczniejszy.

Istanten mruknął na znak, że się zgadza. Dalia zamknęła klapę z powrotem i minęła Istantena, wracając do kuchni.

— Zostaniesz i popilnujesz?

Oczy mu pociemniały i gorączkowo pokręcił głową. Dalia przytaknęła.

— Dobrze. Ale musimy dokończyć kopanie grobu. Dziś w nocy. — Wyszła na korytarz i skierowała się do frontowych drzwi.

Istanten mruknął pod nosem, ale ruszył za nią, echo jego kroków rozniosło się po pustym domu.

IV

Dalia po raz kolejny wbiła szpadel i wyrzuciła z grobu grudę ziemi. Ręce ją rwały i drżały z wysiłku. Czuła przeszywający ból w łydkach i kostkach. Pod oczami jej napuchło, powieki miała ciężkie, prawie omdlewała z wyczerpania. Popołudniowe słońce skryło się za ciemnymi chmurami i w lesie zrobiło się zimniej.

Istanten patrolował okolicę szczękając zębami i mrugając szybko na mroźnym, jesiennym wietrze. Dla ochrony przed chłodem ręce skrywał pod tuniką. Przez ostatnie godziny pilnował zarośli, nasłuchując i wypatrując niebezpieczeństwa na linii drzew.

Dzieci nie odzywały się do siebie aż do zapadnięcia zmroku, kiedy Istantenowi but ugrzązł między korzeniami. Chłopiec runął jak długi twarzą prosto w martwe liście i kamyczki poszycia. Wydostawszy ręce z tuniki, wstał. Worki pod jego oczami zabrudziła ziemia, jednak w świetle księżyca widać było tylko okrutne zmęczenie chłopca, martwe spojrzenie i zgarbioną sylwetkę. Dalia uśmiechnęła się z grobu dziadka i wyciągnęła drżącą rękę do swojego towarzysza. Istanten podszedł chwiejnie, złapał dziewczynkę za nadgarstek i wyciągnął z dołu.

Dalia odstawiła łopatę na krawędzi grobu. Objęła i pocałowała Istantena w brudny policzek.

— Bardzo dużo ci zawdzięczam i bardzo mi pomagasz. — Oparła się na bracie ze zmęczenia. — Idź do domu. Wyśpij się.

Istanten odsunął się, przyłożył kciuk do krtani i mruknął kwaśno.

— W porządku — zapewniła chłopca Dalia. — Już skończyliśmy. Jest wystarczająco głęboki.

Podeszła do linii drzew i skuliła się, przyciągając kolana do brody w ochronie przed zimnem.

Chłopiec zmierzył ją spojrzeniem i wy dobył z siebie niskie jęczenie, które było niemal niesłyszalne na wietrze.

— Posiedzę kilka minut — odpowiedziała dziewczynka, po czym odesłała brata machnięciem ręki. — A ty idź. Zobaczymy się jutro.

Istanten wzruszył ramionami, odwrócił się i ciężkim, zmęczonymi krokiem powlókł się w ciemność.

Przy grobie pozostała tylko samotna dziewczynka, jesienny wiatr i miękki szmer liści. Dalii było zbyt niewygodnie, by mogła usnąć, ale mimo wszystko zamknęła oczy i oparła głowę o chropowatą korę dębu. Rozluźniła się i nieświadomie roztarła gęsią skórkę na ramionach. Liczyła upływające sekundy, by uspokoić umysł, a gdy doliczyła do tysiąca z namysłu wyrwał ją głos.

— Jest za zimno, by tutaj spać.

Dalia błyskawicznie otworzyła oczy. Zerwała się na równe nogi i popatrzyła na drzewa wokół, na każdą gałąź, każdy ruchomy cień. Najpierw zobaczyła uśmiech, nienagannie równe zęby odcinające się bielą w ciemności lasu. Zaraz jednak pojawił się zarys sylwetki, gdy intruz podszedł bliżej, a w końcu — gdy stanął na wyciągnięcie ręki — okazał się wysokim mężczyzną w zbroi równie ciemnej, co nocne niebo.

Kompan Harringera z gaju.

— Co tutaj robisz? — wykrztusiła Dalia. Kolana jej drżały ze zmęczenia.

Żołnierz minął ją, jego zbroja brzęczała cicho, gdy szedł. Stanął w milczeniu na skraju grobu, oparł ręce na biodrach i obrzucił spojrzeniem polanę. Potem usiadł z westchnieniem.

— Kim był? — zapytał. — Staruszek, znaczy się.

Dalia zawahała się i zamarła. Wbiła wytrzeszczone oczy w plecy mężczyzny. Czarny rycerz obejrzał się przez ramię i uniósł brew.

— Nieboszczyk, którego szuka Stretvanger. Kim był?

Ich spojrzenia skrzyżowały się, Dalii załomotało serce.

— Moim dziadkiem.

— Na pewno *kimś* więcej, skoro tyle czasu straciliśmy na jego poszukiwania. —

Ostry podmuch zawiął na polanie, nad głowami rycerza i dziewczynki poruszyły się korony drzew. — Podobno był rolnikiem.

— Ogrodnikiem — poprawiła go Dalia. — Był ogrodnikiem.

W ciemności żołnierz nie spuszczał z dziewczynki badawczego wzroku.

— I kim jeszcze?

— Podróżnikiem.

— Doprawdy?

Dalia przytaknęła.

— I cieślą... — Słysząc było, że się zaraz rozpłacie. — Był bajazetem, i wesołkiem, i miłośnikiem zwierząt, i rannym ptaszkiem, i...

Słowa uwięzły jej w gardle. Drżąc, wzięła głęboki oddech.

— ... i jedynym rodzicem, jakiego miałam. Był dobrym człowiekiem i nie zasłużył na to.

Żołnierz w ciemnej zbroi znów odwrócił się do Dalii plecami i zwiesił nogi na krawędzi grobu.

— Dobrym człowiekiem... — wymamrotał. Mówił chyba do siebie, bo pochylał się nad dziurą w ziemi. — Gdy dorośniesz, dziecko, przekonasz się, że nasz świat nie jest czarny i biały. Jest brzydki, niezrozumiały i bladoszary. Dla ciebie to miejsce, gdzie

ogrodnicy są wieszani bez powodu, a przestępcy noszą habity i wydają rozkazy zbrojnym podwładnym.

Mężczyzna wstał i odwrócił się do Dalii, pięty miał na krawędzi grobu.

— Ale tak naprawdę świat nie zna dobra ani zła — kontynuował. — Jest obojętny na to, jak go postrzegamy. Świat obchodzi wyłącznie prawda. Twój dziadek — wędrowny, wesoły bazarz — zmarł, kryjąc w sercu wiele tajemnic. A Stretvanger przybył, aby upewnić się, że tajemnicami *pozostaną*.

— Wieszając w gaju i wycinając symbole na jego ciele?

— Nauczysz się nie kwestionować wysokich mężczyzn w habitach. Te symbole to sieć, zabezpieczenie, które ma sprawić, by ponure tajemnice twojego dziadka pozostały w mroku. Tam, gdzie ich miejsce.

Dalia przełknęła, bo poczuła ucisk w gardle.

— Jak mnie znalazłeś?

— Śledziłem cię. Po tym, jak wyszłaś z chatki. Liczyłem, że zaprowadzisz mnie do ciała.

— Przykro mi, że cię zawiodłam — powiedziała Dalia.

Człowiek wyszczerzył w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

— Mnie też przykro — odparł. — Ponieważ wiesz, gdzie jest twój dziadek, a to oznacza, że muszę zabrać cię z powrotem do Stretvangera. I uwierz mi na słowo, gdy mówię, że to źle dla wszystkich. — Wyciągnął rękę. — No chodź. Nie mamy czasu.

Dalia napięła się. Jej zmęczenie utonęło w oceanie strachu i gniewu. Płynnym ruchem chwyciła za zdobiony szpadel i wykonała zamach. Szpiczasty koniec łopaty głęboko poharatał twarz mężczyzny. Trzask kości uderzającej o kość poniósł się echem przez polanę. Żołnierz z rozłupaną czaszką zatoczył się i osunął do pustego grobu.

V

Middlewick mieniło się niczym żagiew. W czarne niebo wzbijały się krzyki umierających. Dziesiątki strażników przemierzało ulice i pola z mieczami i pochodniami. Desperackie błagania i strzelające płomienie przesywały mroźne, nocne powietrze, gdy zbrojni tłukli szyby, wyważali drzwi i podpalali domy. Mieszkańcy wyroili się na ulicach niczym szczury. Niektórzy nieśli dzieci i dobytek, inni, często tylko w osmalonej bieliźnie, potykali się zdezorientowani i zagubieni.

Głos Stretvangerera rozbrzmiewał wśród chaosu jak róg bojowy w wojennej zawierusze.

— Mają blizny! Szukajcie blizn! — ryczał biskup, gdy rzeka ludzi przepływała obok niego drogą. — Szukajcie run i oczyśćcie ich ciała ogniem! Jeśli krwawią, to nie są martwi!

Dalia zakradła się przez pola. Cuchnący dym kłuł ją w oczy. Okrążyła miasto na czworakach, aż znalazła dom dziadka za wysoką trawą. Resztkami sił pognała ku domostwu i przebiegła przez wyważone drzwi na korytarz. Dopiero w kuchni upadła na potłuczone naczynia. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i nie była w stanie się podnieść. Doczołgała się więc do spiżarni. Z determinacją postanowiła wymknąć się z Middlewick i zabrać stąd dziadka, choćby miała go ciągnąć i pełznąć, skoro nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Minęła poprzewracane beczki z żywnością, otworzyła klapę w podłodze i zerknęła w dół. Duszący odór zgnilizny uderzył dziewczynkę w nozdrza. Z jej piersi wydobył się gwałtowny szloch i Dalia zaczęła drżeć.

Dziura była pusta. W domu rozległy się ostrożne kroki.

— Istantenie? — zawołała dziewczynka, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Przetrzęsnęła pobojowisko na podłodze kuchni, odsuwając potłuczone naczynia i kawałki drewna. Szukała noża, widelca, kolca lub ostrego odłamka talerza, na tyle dużego, by w razie czego zdołała wywalczyć sobie nim drogę ucieczki, ale zaprzestała poszukiwań, gdy zauważyła nożyce w korytarzu przy kuchni.

Były zakrwawione od rękojeści po ostrza.

Na ścianach zatańczyło światło pochodni i oczom Dalii ukazał się Harringer odziany w zbroję, pod której ciężarem lekko się przygarbił. Przyjrzał się dziewczynce badawczo, a następnie wychylił się ze spiżarni do kuchni i krzyknął:

— Znalazłem ją! Jest tutaj.

Z zewnątrz dobiegały stłumione strzępy rozmowy. Harringer wyciągnął rękę, ale Dalia odsunęła się w kierunku dziury pod klapą.

— Co się dzieje? — zapytała ochryple, bo słowa ledwo przechodziły jej przez usta.

— Coś, czego jeszcze nie widziałem — odpowiedział żołnierz. Oczy miał wytrzeszczone z niepokoju. — Pozostałe sześć ciał zniknęło z gaju.

— Zniknęło?

— Nie ma. Przepadły.

— A mój dziadek?

Za domem ktoś krzyknął. Harringer ścisnął mocniej rękojeść ostrza. Zerknął na Dalię i znów wyciągnął rękę.

— Musimy iść.

Dziewczynka spojrzała na niego bezradnie. Oddychała ciężko i nierówno.

— Chyba nie mogę wstać.

Harringer podniósł ją z ziemi. Dalia objęła go za szyję. Wyszli ze spiżarni do kuchni. Kawałki talerzy i sztucce chrzęściły pod butami młodego żołnierza.

Na korytarzu zatrzymał ich Stretvanger, położył ogromną, sękatą rękę na napierśniku Harringera.

— Postaw ją — warknął olbrzym. Musiał pochylać głowę, żeby nie dotykać sufitu. Krwawe smugi plamiły przód jego szat, a z ucha ściekała mu szkarłatna strużka.

Harringer zawahał się. Stretvanger spoliczkował go, a siła uderzenia posłała żołnierza z powrotem do kuchni. Dalia wypadła mu z ramion i osunęła się na podłogę. Biskup stanął nad dziewczynką. Zanurzył dłoń w szaty i zza pazuchy dobył zakrzywiony sztylet. Palce obejmujące rękojeść przypominały pięć kościstych węży. Pochylił się nisko, stawy mu zatrzęszczały. Dalia poczuła na twarzy jego oddech — gorący jak popiół.

— Gdzie — wyszeptał — jest twój dziadek?

Pokręciła głową.

— Ja... ja nie...

Stretvanger zamachnął się i ciął jej policzek zimną stalą. Dalia skrzywiła się, z kącików oczu pociekły jej łzy.

— Pokaż mi! — ryknął. Złapał dziewczynkę za ubranie i podniósł jak piórko. Harringer z kuchni tylko patrzył, gdy biskup przykładał nóż do gardła Dalii.

Dziewczynka otworzyła usta, by przemówić. Skrzywiła się i poruszyła językiem, ale nie znalazła słów.

— Podleję kwiaty twojego dziadka twoją krwią — zasyczał Stretvanger. — Zrównam wszystko z ziemią. Wypalę twoje imię z ludzkiej pamięci, jeśli mi nie odpowiesz.

— Ja... — Nóż drapnął jej szyję i Dalia drgnęła. Napotkała nieustępliwe, kamienne spojrzenie Stretvangera i nie ujrzała w jego oczach żadnego udawania,

żadnego podstępu czy nieszczerości. Nie było w nich jednak również wrogości. Dalia zobaczyła tylko grozę, przerażenie wyzierające z rozszerzonych źrenic olbrzyma.

— Lasy. Znajdziecie polanę na wschód od młyna. Jest w otwartym grobie.

Stretvanger wskazał nożem na Harringera.

— Idź — warknął, a młodzieniec podniósł się z podłogi i wyszedł. Wkrótce zaczął wykrzykiwać rozkazy do swych kompanów na ulicy.

— Proszę mnie położyć — wymamrotała Dalia.

Biskup rozejrzał się po korytarzu i pokręcił głową.

— Nie, nie, nie — wymruczał z lekkim uśmiechem. Popatrzył po ścianach, potem po prostu podniósł dziewczynkę i ruszył w głąb chatki. — Nie jesteś wolna od zarzutów, dziewczynko. To po *tobie* teraz sprzątam.

Otworzył drzwi do piwnicy; schody prowadziły w mrok pod domem, niczym postrzępiony jezior wysunięty z paszczy otchłani.

— Wkrótce wrócę — obiecał Stretvanger — by pomówić z tobą o grzechu kłamstwa.

Dalię ogarnęła ciemność, runęła po schodach, łamiąc żebra, świat zawirował, gdy spadała w mrok piwnicy. Uderzyła z hukiem o kamienną posadzkę. Linie światła, które obrysowało framugę, zbladły, gdy Stretvanger zamknął i zarygłował drzwi.

Zza ścian dziewczynka słyszała stłumione krzyki i płacz swoich sąsiadów. Middlewick płonęło. Usłyszała krzątające się szczury w rogu piwnicy i własny ochrypły, ciężki oddech oraz jęki bólu, gdy po omacku czołgała się do stołu roboczego dziadka.

Gdy tam dotarła, wymacała na blacie świeczkę. Położyła ją ostrożnie przed sobą i na ślepo poszukała wśród narzędzi krzesiwa. Przeciągnęła krzesiwem

po podłodze. Deszcz iskier rozświetlił ciemność. Dalia kontynuowała wysiłki, aż knot się rozpałił.

Zmrużyła oczy od blasku niewielkiego płomienia. Wosk pociekł jej po kłykciach, gdy oczy przyzwyczajały się półmroku, a potem dziewczynka podniosła świeczkę, by zbadać zakamarki piwnicy.

Światło omiotło każdy kąt — stół, półki, skrzynie przy schodach. Wyczerpany umysł Dalii niemal zignorował chudego starca opierającego się o przeciwległą ścianę. Wyglądał znajomo — nachylenie barków, linia włosów — ale ten człowiek był wyniszczony i zmarniały jak ktoś, kto tylko założył skórę jej dziadka. Białe gałki oczne poznaczone pękniętymi żyłkami odbijały blask świecy, a jego szczeka zwisała luźno jak strzęp tkaniny. Wszystkie kończyny wypadły mu ze stawów. Wzdrygnął się pod spojrzeniem Dalii.

Dziewczynce krew zadudniła uszach.

Stwór zatoczył się jak pijany. Po jego piersi i udach biegły blade runiczne blizny. Dalia odsunęła się, oddychała płytko i boleśnie. Z ciemności wyłoniła się jeszcze szóstka postaci, które wlekły się w jej kierunku, wydając nieludzkie dźwięki ze zdeformowanych ust.

— Dziadku? — pisnęła.

Świeczka upadła na podłogę.